

# Szkolnictwo wyższe i badania naukowe w Polsce – aktualne problemy

Rozmowa z prof. dr hab. Franciszkiem Ziejką,  
rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego

– Panie Rektorze, w przyszłym roku wchodzi w życie nowy, testowy model matury, teoretycznie upoważniający do przyjęć na studia bez egzaminów wstępnych. Już dzisiaj widać jednak, że wokół tej sprawy narasta coraz więcej emocji i niejasności. Władze niektórych szkół wyższych zamierzają honorować nowe świadectwa maturalne i przy przyjmowaniu studentów zadowolić się konkursem tych świadectw, władze innych uczelni zapowiadają dodatkowe sprawdziany kwalifikacyjne, inne wreszcie myślą o przyjęciu systemu mieszanego, w zależności od kierunku studiów. Jakie stanowisko w tej sprawie zajął Uniwersytet Jagielloński?

– W sprawie formy egzaminów wstępnych w 2005 roku Uniwersytet Jagielloński postanowił, że decyzje szczegółowe zapadną na poziomie wydziałów, w związku z czym przyjęto rozwiązania bardzo zróżnicowane. Zdecydowana większość wydziałów istniejących na naszej uczelni, to znaczy 13 na 14, przyjęła zasadę, że przy przyjmowaniu nowych studentów będzie uwzględniać wyniki nowej matury. Niektóre z nich – wyłącznie, ale dotyczy to kierunków mniej obleganych przez kandydatów. Na części wydziałów (na każdym z osobna) postanowiono wprowadzić dodatkowy test o charakterze psychologicznym, sprawdzający stopień przygotowania do studiowania i umiejętności studiowania. Na tych kierunkach podstawowym kryterium będzie więc odpowiedni „przelicznik” wyników na maturze i oceny z testu. Wyjątkiem na razie pozostaje Wydział Prawa i Administracji, którego Rada postanowiła, że jeszcze w najbliższym roku nie przyzna nowej maturze szczególnych przywilejów i zorganizuje normalny egzamin kompetencyjny, który nie będzie – jak to określono – powtórzeniem egzaminu maturalnego i metodą tradycyjną powinien pozwolić na wyłonienie najlepszych kandydatów. Ponieważ w tej sprawie zachodzi różnica zdań pomiędzy Radą Wydziału i Senatem Uniwersytetu, nie została ona jeszcze ostatecznie rozstrzygnięta.

Mam świadomość, że za stanowiskiem tego wydziału przemawiają pewne argumenty. Podobny dylemat na ostatnim posiedzeniu Senatu mieliśmy z medycyną i farmacją, gdzie zapadły kolejne decyzje o centralnie organizowanych egzaminach wstępnych. Sytuacja ta dowodzi jednak, że w dużej, prestiżowej uczelni nie sposób w ciągu jednego roku całkowicie przejść na system oparty na uznawalności nowej matury. Potrzebny jest pewien ok-

res przejściowy, który pozwoli środowisku akademickiemu przystosować się do nowych warunków i w końcu doprowadzić do akceptacji nowego egzaminu maturalnego jako egzaminu państwowego.

Naprawdę nie dziwię się środowisku akademickiemu, że nie ma pełnego zaufania do wprowadzanej formuły egzaminów maturalnych. Żądania od nas, od środowiska akademickiego, od rektorów, żebyśmy egzamin maturalny uznali za egzamin w pełni zewnętrzny, zostały właściwie odrzucone. I to pomimo wielu nacisków, żeby w komisjach egzaminów maturalnych zasiadło dwóch egzaminatorów zewnętrznych i tylko jeden wewnętrzny. Niestety, nie udało nam się tego przeprowadzić. Pod pretekstem, że to zbyt drogo będzie kosztować.

**– To znaczy, że będzie dwóch egzaminatorów wewnętrznych?**

– Obecnie będzie dwóch egzaminatorów wewnętrznych (czyli z danej uczelni) oraz jeden zewnętrzny. Właściwie całe środowisko akademickie, z niewielkimi tylko wyjątkami, było zdania, że skoro wchodzimy do Europy, to nie wolno nam obniżać poziomu matury. W związku z tym uważaliśmy – i nadal tak sądzimy – że skreślenie matematyki z listy przedmiotów obowiązkowych na poziomie podstawowym, było zabiegiem bardziej politycznym niż *stricte* naukowym. Chodziło pewnie o to, by przypodobać się troszeczkę młodym ludziom, którzy będą potem głosować... Liczę na to, że w Ministerstwie Edukacji nadejdzie moment głębszej refleksji nad całą koncepcją nowej matury i zostaną przeprowadzone takie korekty, które pozwolą środowisku akademickiemu w pełni zaakceptować maturę jako egzamin państwowy, a nie „prawie” państwowy, egzamin nie pozorowany, ale prawdziwie ministerski.

**– No tak, ale wobec tego, czy w pracy nad koncepcją tej matury-testu w Ministerstwie nie powinien ktoś reprezentować środowiska?**

– Ta ekipa ministerialna, ale też i poprzednia, tak właśnie przygotowywały tę maturę, że nigdy nie było miejsca na konsultacje ze środowiskiem akademickim.

**– A czy środowisko zgłaszało taką potrzebę?**

– Nieustannie! Mysłmy powtarzali, że nie może być tak, iż najpierw nie przeprowadza się oficjalnych konsultacji ze szkołami wyższymi, a potem oczekuje się od nich, że będą automatycznie respektować wszystkie przepisy nowej ustawy. Każę nam się przyjmować produkt na wiarę, bezkrytycznie. I w tym chyba tkwi zasadnicze źródło konfliktu. To nie jest moment, żeby w tej sprawie powiedzieć „tak”. Przyjmiemy, owszem, ale przeprowadzimy dodatkowo test kompetencyjny, test umiejętności studiowania, co ma nam pozwolić na ewentualne korekty. Nie sądzę natomiast, żeby obecny minister edukacji był akurat skłonny przywrócić matematykę. Proszę sobie wyobrazić: to ja, polonista, występuję w obronie matematyki! Uważam jednak, że w sytuacji, kiedy chcemy, by młodzi ludzie byli dostatecznie dobrze przygotowani do funkcjonowania w „społeczeństwie wiedzy”, powinniśmy przekazać im umiejętność posługiwania się różnymi nowoczesnymi narzędziami. Nie można więc odstępować od tak istotnej zasady, jaką jest matura z matematyki na poziomie podstawowym.

Jako rektor mam jeszcze inny kłopot wynikający z decyzji pani minister edukacji, a dotyczący przesunięcia inauguracji tej matury na rok 2005. Na ten rok właśnie w polskich uczelniach przypada koniec kadencji władz i nowe wybory. A w praktyce będzie wyglądać to tak: trwa nowa matura, równocześnie ze zdecydowanej większości (około 80%) państwowych uczelni w Polsce odchodzą stare ekipy, które już nie będą odpowiadać za to, co

się dzieje, a nowe ekipy obejmą realną władzę dopiero we wrześniu. Pytam się więc, kto będzie odpowiadać za powodzenie całej tej akcji? Mówiłem o tym pani minister, ale nic z tego nie wynikało.

Widzę zatem dwa zasadnicze problemy – sprawę matematyki i niefortunne przesunięcie inauguracji nowej matury na przyszły rok. W tej sytuacji naszą jedyną szansą na uniknięcie chaosu jest zastosowanie pewnego okresu przejściowego, który z jednej strony pozwoli dopracować zasady nowej matury, z drugiej zaś da nam czas na przystosowanie się i całkowitą rezygnację z egzaminów wstępnych. Widzę to w perspektywie kilku lat.

– **Najpóźniej ilu?**

– Trzech, czterech.

– **Czy cały ten okres przejściowy nie był w końcu do uniknięcia?**

– Oczywiście. Uważam, że od samego początku.

– **To była kwestia woli rozmowy?**

– Raczej określonych decyzji, i to wcale nie politycznych.

– **Zmieniamy temat. Czy uważa Pan, że studenci powinni płacić za naukę i czy studia w cyklu bezpłatnym są dzisiaj w Polsce rzeczywiście bezpłatne?**

– Łatwo odpowiedzieć na drugie pytanie: studia w tzw. cyklu bezpłatnym są płatne i wcale nie mało kosztują! Natomiast wobec tego, co się dzieje w Polsce, wobec olbrzymiego zróżnicowania majątkowego społeczeństwa i równocześnie jego pauperyzacji uważam, że to nie pora na rezygnację z tzw. studiów bezpłatnych. Długo rozmawialiśmy na ten temat w środowisku rektorów. Pojawiały się różnorodne koncepcje rozwiązania tej sprawy, ale mimo wszystko przeważała opinia, że szkolnictwo wyższe nie powinno być konstytucyjnie płatne.

Głównym argumentem przemawiającym za płatnością jest fakt, że część studentów pochodzi z rodzin bogatszych, które stać na opłacanie swoim dzieciom studiów. Przyznaję: w tym jest jakaś racja, ale zarazem jej nie ma... Jeśli jednak nowa matura doczeka się pełnej akceptacji przez uczelnie, to na dobrą sprawę automatycznie odpadnie przynajmniej jeden istotny wydatek związany z przygotowaniem się do egzaminów wstępnych – korepetycje.

Ale dylemat ten nie dotyczy tylko nas. Dziesięć dni temu gościłem grupę dwudziestu pięciu rektorów z Francji, których zaprosiłem na spotkanie z grupą rektorów polskich. Rozmawialiśmy także na temat odpłatności za studia. Otóż tam studenci płacą, choć właściwie symbolicznie.

– **Wszyscy?**

– Wszyscy, ale kwoty, jak na warunki francuskie, raczej niewielkie: 100–250 euro. Generalnie jednak uważam, że państwo powinno brać na siebie odpowiedzialność za stworzenie godziwych warunków do studiowania, a nie zrzucać nagle pełnej odpowiedzialności na barki obywateli.

– **Panie Rektorze, ale badania pokazują, że ze studiów bezpłatnych w uczelniach państwowych korzysta głównie młodzież z rodzin zamożniejszych i lepiej wykształconych, faktycznie więc mamy do czynienia z transferem pieniędzy w stronę bogatszych. Wystarczy spojrzeć, kto studiuje prawo, nawet na Uniwersytecie Warszawskim. Czy nie byłoby zatem słuszniej przyjąć zasadę, że płacą wszyscy, ale studenci pochodzący ze środowisk uboższych otrzymują stypendia socjalne, a ci, którzy dobrze się uczą – stypendia naukowe? Czy taka alokacja pieniędzy publicznych, takie**

## **rozwiązanie tej kwestii, nie byłoby bliższe poczuciu zdrowego rozsądku i sprawiedliwości?**

– Tak, ale tylko pozornie. O tym też długo rozmawialiśmy. Otóż przede wszystkim chciałbym zauważyć, że wcale nie jest tak, iż państwa nie stać na utrzymywanie bezpłatnych studiów. Nasze państwo w wielu dziedzinach prowadzi politykę „szerokiego gestu i ręki”. W związku z tym w pełni podzielam pana rozumowanie. Można byłoby to zrobić, ale obawiam się, że w praktyce powstanie wiele problemów, a to z udokumentowaniem prawa do korzystania z pomocy socjalnej, a to z koniecznością terminowej opłaty czesnego; problemów, które w praktyce uderzą właśnie w tych najuboższych.

Myślałem również o zwolnieniu wielu młodych ludzi z opłat, ale natychmiast powstaje problem autentyczności różnych zaświadczeń, które dzisiaj właściwie każdy może sobie wyprodukować w zależności od potrzeb. To jeszcze jeden powód, dla którego łatwiej jest mi przyjmować młodzież na studia bezpłatne.

Po rozważeniu wszystkich argumentów byłbym więc raczej za poważną dyskusją nad możliwością zwiększenia dotacji z budżetu na rozwój szkolnictwa wyższego w Polsce. Na pytanie – skąd, powtarzam, że nasze państwo naprawdę dysponuje ogromnymi pieniędzmi, które wydaje lekką ręką a to na zbrojenia, a to na wojnę w Iraku, a to na podtrzymywanie kopalń. Kolejne rządy boją się, że górnicy wyjdą na ulice i będą wrzeszczeć albo rozbijać szyby w Warszawie. Dziwna polityka zapewniania równości obarcza budżet wielkimi dotacjami. Gdyby te pieniądze znalazły się w szkołach wyższych, wówczas uczelnie mogłyby wziąć na siebie także zadania socjalne.

– **Ale to już 43% polskiej młodzieży, prawie połowa rocznika, rozpoczyna studia...**

– W Polsce naprawdę mamy coraz więcej ludzi biednych, a społeczeństwo jest coraz bardziej zróżnicowane. Być może niedługo nadejdzie taki czas, że dzieci nowych bogatych nie będą już do nas startować, ale pójdą sobie do Cambridge, do Stanów Zjednoczonych, i będą szpanować. Zjawisko to będzie jednak dotyczyć niewielkiego procenta danego rocznika, choć stopniowo może się nasilać.

Przy obecnych nakładach na szkolnictwo wyższe 80–90% uczelni powinno ogłosić upadłość. Na naszym Uniwersytecie nie dzieje się tak tylko dlatego, że pozyskujemy środki ze studiów płatnych. Przeprowadziliśmy symulację, że gdyby za studia musieli płacić wszyscy na poziomie wystarczającym do amortyzacji kosztów i wydatków, to czesne byłoby tak wysokie, że studenci nie byłoby w stanie jego płacić. Wówczas państwo zostałoby zwolnione z dotowania ...usługi państwowej, a znacząca liczba kandydatów na studia z rodzin tzw. środka socjalnego nie mogłaby podjąć nauki.

– **Na razie jednak nie jest tak, że wszyscy studenci płacą, państwo też trochę płaci...**

– Mam już za sobą kłótnie na temat płatności za studia. To nie jest pora, abyśmy w tej chwili likwidowali studia bezpłatne. Najlepszym dowodem na to, że ten cykl studiów powinien zostać utrzymany, jest znacząca grupa młodzieży pochodzącej z bardzo biednych rodzin, która studiuje na naszym Uniwersytecie. To nie jest tak, że bezpłatnie studiują tylko najbogatsi. Olbrzymia większość to są ludzie z rodzin średnio zamożnych i ubogich. Tych ostatnich wspomagamy poprzez różne fundusze i zapomogi, m.in. z Funduszu im. Karola Estreichera i z Małopolskiego Funduszu im. Stanisława Pigionia. Mam pełną świadomość tego, że ci, których przyjmuję na studia bezpłatne są najlepsi. U mnie nie dominują ci najbogatsi. Może w Warszawie?

– **Nie, lepsze wyniki w nauce uzyskują głównie dzieci rodziców o wyższym poziomie wykształcenia...**

– To naturalne. Moje dzieci też mogły dostać się na studia dużo łatwiej niż kiedyś ja.

– **Jaki, zdaniem Pana Rektora, byłby najlepszy system finansowania szkół wyższych w Polsce? Była propozycja stosowania algorytmu według liczby studentów i wyników nauczania. Jest też formuła, którą nazwano „wyścigiem szczurów”: każdy uniwersytet otrzymuje pulę pieniędzy uzależnioną od liczby przyjętych studentów, wobec tego trwa walka o jak największą liczbę studentów; walka prowadząca do faktycznego obniżania realnej kwoty przeznaczonej na jednego studenta...?**

– Myśmy już przerabiali różne formuły algorytmów...

– **Ale to minister Szulc będzie wprowadzał nowy algorytm...**

– Już wprowadził, w tym roku. Jest to algorytm zmodyfikowany i wcale nie jest zły.

– ?

– Opiera się on z jednej strony na liczbie studentów dziennych, przy czym w ogóle nie bierze się pod uwagę studentów wieczorowych i zaocznych. Zostali w to natomiast wmontowani doktoranci i kadra naukowa. Uważam, że ten algorytm jest do przyjęcia przez całe środowisko. Nie zgadzam się z tym, o czym mówią niektórzy koledzy, że za studentem pójdzie pieniądź. Tylko za studentem. Wówczas w ogóle nie będą prowadzone badania naukowe. I to przy nieustająco zmniejszającej się dotacji budżetu dla KBN-u. Przecież my w ten sposób idziemy dokładnie w kierunku przeciwnym *Strategii Lizbońskiej*, w stronę Archangielska czy Władystostoku. Każdego roku z dotacji na badania obcina się 15–20% budżetu. Jeśli te pieniądze rzeczywiście „poszły” tylko za studentem, to mamy prawdziwy „wyścig szczurów”. Będziemy przyjmować jak najwięcej studentów, żeby dostać jak najwięcej pieniędzy.

– **A ponieważ pula jest taka sama...**

– ... więc uważam, że jednak ten nowy algorytm na swój sposób jest racjonalny. Opiera się na przeliczeniowej liczbie studentów, bez względu na – zazwyczaj dyskusyjną – wagę poszczególnych kierunków. Zawsze można wprowadzić pewne korekty, ale generalnie zostają studenci, doktoranci i kadra naukowa. I to jest ta baza, ta miara, którą uważam za uczciwą. Ale jest rzeczą oczywistą, że przy tak małej dotacji z Ministerstwa Edukacji zawsze będziemy zmuszeni do poszukiwania dodatkowych środków, żeby się utrzymać, ponieważ dla około 40% moich studentów pieniędzy z budżetu nie starcza.

– **Dla 40%?**

– Tak. To znaczy część dostają z KBN-u, a część, w granicach 16–20%, uzyskują z wpływów od studentów zaocznych i wieczorowych. Oczywiście, nie mam takich możliwości jak rektor Uniwersytetu Warszawskiego Piotr Węgleński, który może komuś wynajmując cały budynek. Ja sam jestem najemcą 16 tys. metrów kwadratowych, za które płacę około 4 mln czynszu rocznie. Wyciągam pieniądze od studentów i wzbogacam Kraków, mieszkańców Krakowa...

– **Płacąc czynsz...**

– I dlatego m.in. buduję kampus. Żeby wyjść z tego czynszu i żeby Uniwersytet przesłał w końcu utrzymywać innych. Budowa przewidziana jest na okres 10 lat i na szczęście dobrze idzie, ale przez to nie chcemy teraz powiększać liczby studentów.

– **Wróćmy jeszcze do sprawy, o której Pan Rektor już wspomniał. Panuje przekonanie, że 0,34%, jakie państwo przeznacza ze swojego budżetu na badania naukowe,**

to za mało. Otóż słyzy się czasami opinie, wygłaszane mniej lub bardziej jawnie, że badania w naszej sytuacji są potrzebne tylko o tyle, o ile służą dydaktyce. Natomiast, zamiast prowadzić badania, dla gospodarki opartej na wiedzy lepiej jest kupować gotowe patenty albo doskonalić *know-how*. Skoro właściwie nigdy w Polsce nie osiągniemy liczącego się w świecie poziomu, to może nie ma sensu zwiększać budżetu na badania, a lepiej pozostać przy tym poziomie finansowania, jaki obecnie jest, a badania traktować jako wprawkę dydaktyczną. Taki pogląd panuje wśród poważnych ekonomistów i takie myślenie zdaje się być obecne w KBN-ie.

– Namawia mnie pan, ażebym się przeniósł do Afryki, żebyśmy w Polsce byli wyłączni konsumentami cudzej myśli. Nikt mnie nie przekona, bym odstąpił od mojej wizji uniwersytetu, która jest na swój sposób tradycyjna. Dla mnie istotna jest nie tylko dydaktyka, ale również proces badawczy. Badania naukowe wpisane są i w psychikę, i w etos każdego uczonogo. I nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że szansę na myślenie i pracę badawczą należy oddać bogatej Ameryce czy też Niemcom, a sobie pozostawić zakup gotowych rozwiązań, innymi słowy – postawić się w tej konkurencji w roli konsumentów. Uważam, że również my możemy w dziedzinie badań być konkurencyjni. Dam przykład.

Niedawno dwukrotnie odwiedziłem Brazylię. Byłem w Kurytybie. To miasto liczy sobie 1,5 mln mieszkańców, posiada olbrzymi uniwersytet i całe opasane jest inkubatorami wynalazczości, które należą do tegoż uniwersytetu. Miasto Kurytybę zresztą i jego parki technologiczne wymyślił i zaprojektował polski inżynier... W tych inkubatorach są dzisiaj zatrudnione tysiące ludzi, większość na zamówienie Amerykanów, ale pracują w Brazylii! I mnie się marzy dokładnie to samo. Właśnie budujemy nowoczesny kampus 600-lecia Odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Warto zobaczyć, to tylko cztery kilometry stąd. Już mam wykończony wielki kompleks biotechnologii (Wydział Biotechnologii), Instytut Nauki o Środowisku, kończymy prace przy Instytucie Geografii i Gospodarki Przestrzennej, mamy Centrum Badań i Aparatury Naukowej. To są konkretne obiekty, które udało się wybudować. Przy kampusie zainstalowało się jedno z centrów oprogramowania firmy Motorola, która już zatrudnia bodaj 280 informatyków. Obecnie powstaje tam inkubator technologiczny. To jest działanie etapowe. W zeszłym roku powołałem do życia Centrum Innowacji, Transferu Technologii i Rozwoju Uniwersytetu (CITTRU) i już pracuje przy nim kilka specjalistycznych firm, których – mam nadzieję – stopniowo będzie coraz więcej.

Patrząc na to, co się dzieje dookoła, uważam, że nie możemy czuć się zwolnieni ani z obowiązku prowadzenia badań humanistycznych, ani tym bardziej z badań w sferze wysokich technologii. Jestem pewien, że my naprawdę możemy zaistnieć na światowym rynku jako twórcy i producenci nowoczesnych technologii. I nie chodzi o to, by zajmować się wszystkim. My powinniśmy, tak jak Finowie, wyspecjalizować się w kilku dziedzinach nauki, do których byłby skierowany większy strumień pieniądza. Takimi dziedzinami mogłyby być np. wspomniane przeze mnie wysokie technologie lub nanotechnika. Ponieważ nie stać nas na to, by robić w Polsce wszystko, wbrew wielu osobom, także rektorom, uważam, że musi być jakaś polityka naukowa, która zajmie się priorytetami. A reszta niech będzie jak jest i niech pomaga w utrzymaniu wysokiego poziomu dydaktyki. Powtarzam: Pan Bóg rozdaje talenty nie tylko bogatym, daje je według własnego uznania i postęp technologiczny może się rodzić także u nas.

– Ale w praktyce Polska dziś jest tylko konsumentem.

– Powtarzam: wierzę głęboko, że mamy znakomitych uczonych. Mamy coraz więcej ofert od ludzi, którzy chcą do nas przyjechać, także ze Stanów. Już ze stopniami naukowymi. Chcą powrócić do Krakowa i zakładać swoje katedry, po prostu tutaj pracować. To jest zjawisko, które powinniśmy wykorzystać.

– **Jak Pan Rektor ocenia obecny poziom dostępności studiów wyższych w Polsce w porównaniu z innymi krajami Unii Europejskiej?**

– Odpowiedź jest prosta: wystarczy spojrzeć na liczby. Jeśli w Polsce kształcimy odpowiednio tylu studentów, ilu znacznie liczniejsze Niemcy lub Francja, to możemy mówić o wiele większej dostępności studiów w Polsce niż we wspomnianych krajach. Innymi słowy, na 38 mln ludności mamy 2 mln studentów, czyli tyle, ile 60-milionowa Francja czy 80-milionowa Niemcy. Osobiście kategorycznie odrzucam francuski czy niemiecki model dostępności do studiów. Jest rzeczą nie do przyjęcia, by każdy, kto tylko ma maturę, mógł zapisywać się gdzie chce. Przy takim podejściu groziłby nam zalew chętnych, fala np. 30 tys. kandydatów, z którą nie wiedzielibyśmy, co zrobić. Byłoby to nawet zjawisko groźne dla autonomii uczelni.

– **Od lat słyszy się opinie, że programy nauczania polskich szkół wyższych poruszają się w świecie abstrakcji i nie uwzględniają realnych potrzeb rynku pracy. Jak ten problem wygląda obecnie w Polsce i jak Uniwersytet Jagielloński próbuje się z nim zmagać?**

– W polskich uczelniach obowiązują pewne standardy nauczania, ustalone przez Radę Główną Szkolnictwa Wyższego i Nauki, które zresztą w moim przekonaniu nie są najlepszym rozwiązaniem. Oczywiście, potrzebne są pewne standardy, ale *minimum*, a nie takie, przy których dyrektor instytutu nie może już niczego zmienić.

Mnie jest bliższa idea, którą przed laty przywiozłem z Francji. Polega ona na tym, że istnieje pewien kanon przedmiotów (mniej więcej dwie trzecie programu), które należy zaliczyć, żeby otrzymać magisterium z danej dziedziny. Ale jedna trzecia to jest opcja, przedmioty dowolnie wybierane przez studentów, w zależności od ich zainteresowań i preferencji tematycznych. Zasady tej, wprowadzanej w naszym Uniwersytecie stopniowo, przestrzegamy od wielu lat. Tymczasem obowiązujący polski standard programowy jest tak sztywny, że narzuca nie tylko przedmioty zajęć, ale nawet liczbę godzin, które należy im poświęcić. Na swój sposób jest to próba powrotu do sytuacji sprzed 1989 roku. Mnie jest bliższa wizja kształcenia „z kanonem i z opcją”.

– **Czy są prowadzone jakieś działania, by to zmienić?**

– Uważam, że musi tutaj nastąpić jakieś rozluźnienie. Wyobrażam sobie, że jako uniwersytet powinniśmy mieć autonomię nie tylko w zarządzaniu finansami, ale także w zakresie kształtowania i wyboru kierunków oraz programów studiów. Nie jest bowiem rzeczą normalną, że nieustannie muszę zwracać się do Państwowej Komisji Akredytacyjnej, aby zatwierdziła nowy kierunek, np. dziennikarstwo albo studia europejskie. Jeżeli dysponuję odpowiednią kadrą, jeśli mam odpowiednich profesorów, to uniwersytet jako instytucja autonomiczna, jego rektor i senat, są chyba w stanie sami podjąć w takiej sprawie odpowiedzialną decyzję i zagwarantować odpowiednią jakość studiów. Jako środowisko rektorów walczyliśmy przed laty o powołanie Państwowej Komisji Akredytacyjnej, a teraz urząd ten stał się nagle wędzidłem, które usiłuje nas wpędzić w szkolny rygor. Decyzje ma obecnie podejmować wyłącznie urząd państwowy.

Jestem zwolennikiem zdecydowanie większej autonomii uczelni, także w zakresie makrokierunków. Chcemy stworzyć młodzieży szansę np. kształcenia dającego w początkowym okresie studiów szerszą wiedzę, a po trzech latach umożliwiającego samodzielny wybór odpowiadającej im specjalizacji.

**– Panie Rektorze, żyjemy w czasach rankingów. Szkoły wyższe należą do instytucji dość uprzywilejowanych w tej „konkurencji”. Ostatnio w rankingu dziennika „Rzeczpospolita” i tygodnika „Perspektywy” pierwsze miejsce zajął uniwersytet kierowany przez Pana Rektora. Czy to wyróżnienie ma jakieś praktyczne znaczenie w bieżącym funkcjonowaniu uczelni?**

– To ma znaczenie medialne, ale w praktyce żadnego. Uważam, że rankingi to jest nieźła zabawa, ale nie powinniśmy do tego przywiązywać zbyt wielkiej wagi. Mówiłem to w Warszawie i powtarzam gdzie indziej. Jeśli rzeczywiście mamy dwa najlepsze uniwersytety, to dlaczego nie można im obydwu dać pierwszych miejsc, tylko po aptekarsku dzielić dowody uznania na dziesiąte czy setne procenta. To wyłącznie zabawa dla dziennikarzy. Nie stanowi ona podstawy do prawdziwej oceny wartości danej uczelni.

**– Ale czy informacja o wysokiej pozycji w rankingu nie może np. stanowić zachęty dla potencjalnych kandydatów?**

– Ja mam także inne metody docierania do kandydatów. Sprawdziłem ostatnio, dlaczego mamy 5,5 kandydata na jedno miejsce. Oto moi absolwenci-dziennikarze przygotowali specjalny numer pisma „Alma Mater”, który wydaliśmy dla uczniów szkół średnich. Dwadzieścia tysięcy egzemplarzy tego numeru rozesałem do wszystkich liceów w Polsce, od Władysławowa i Szczecina po Jaworzno. Z napisanym przeze mnie listem oraz z prośbą o udostępnienie tego pisma uczniom. I w ten oto sposób mamy kilka tysięcy kandydatów więcej.

A w rankingach, jeśli okazuje się, że dwa uniwersytety odbijają od reszty o 30 punktów, byłoby najlepiej przyznać im pierwsze miejsce *ex aequo*, a nie rozstrzygać po aptekarsku. Choć muszę przyznać, że aptekarstwo ma teraz wielkie powodzenie – w tym roku jest u nas 4,5 kandydata na farmację!

**– Jednym z istotniejszych wyzwań dla szkół wyższych w Polsce jest dzisiaj cała sfera etyczna. Co pewien czas media donoszą o jakiejś aferze z plagiatami, z handlem dyplomami lub z pisaniem prac dyplomowych na zamówienie. Jak ten problem wygląda na Uniwersytecie Jagiellońskim?**

– No cóż, plagiaty to – mógłbym długo o tym opowiadać – zhora znana już od czasów starożytnych. Pojawiały się, pojawiają i będą pojawiać. Różnica polega wyłącznie na skali tego zjawiska.

**– Jak więc Pan Rektor ocenia dzisiaj tę skalę?**

– Próbowaliśmy różnych metod walki z tą „chorobą”, ale najskuteczniejsze, moim zdaniem, leżą w rękach samych uczelni i KBN-u. W pierwszej kolejności należałoby więc ograniczyć liczbę magistrantów przypadających na jednego samodzielnego pracownika. Nie może być tak, że jakiś profesor ma na swoim seminarium magisterskim 25 studentów w danym roku i nie jest w stanie przeczytać oraz ocenić ich prac. Moja propozycja jest prosta: wyznaczyć górną granicę, np. 12 magistrantów, i wówczas istnieje szansa, że promotor będzie w stanie się zapoznać z wszystkimi pracami. Oznacza to wzrost wymagań promotora w odniesieniu do każdego jego studenta i równocześnie zaostrenie konsekwencji



wobec tych samodzielnych pracowników, którzy przekraczaliby dozwolony limit. A zatem rzecz dotyczy zmiany polityki.

Jeżeli chodzi o zjawisko plagiatu, to miałem taki przypadek. Bodaj w 1994 roku ktoś zrobił doktorat na moim wydziale z zakresu filologii słowiańskiej. Było już po obronie i promocji, gdy praca ta ukazała się drukiem. Nagle nadeszło pismo od pewnej pani profesor z Kanady, która zauważyła, że dwa rozdziały w tej książce są polskimi przekładami jej dwóch artykułów. Oczywiście, wszczęliśmy postępowanie wyjaśniające, które potwierdziło zarzuty autorki z Kanady, w następstwie czego człowiek ów został pozbawiony tytułu doktora, a jego promotor i recenzenci otrzymali upomnienia. Jak już mówiłem, jestem zwolennikiem zaostrzenia rygorów wobec osób przepuszczających tego rodzaju nadużycia (często w nadziei pozyskania dodatkowych premii). Żyję na tym świecie już 64 lata i wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie tak ogłupieli na punkcie pieniądza, że często tracą resztki przyzwoitości i zdrowego rozsądku.

**– Z kwestią przestrzegania pewnych zasad wiąże się także problem dwu- i wieloetatowości kadry naukowej uczelni państwowych. Ubiegłoroczne decyzje Pana Rektora dały początek publicznej debacie na ten temat w całej Polsce. W wyniku tej debaty w ślady Uniwersytetu Jagiellońskiego poszły także inne uczelnie, próbując niejako urzędowo uregulować ten problem. Jak dzisiaj sytuacja pod tym względem wygląda na Uniwersytecie Jagiellońskim?**

– Myślę, że na moim Uniwersytecie na razie można ją uznać za uregulowaną, chociaż wolałbym, aby została ostatecznie rozwiązana ustawowo. A batalię w całej Polsce trzeba było rozpocząć. Ktoś musiał w końcu głośno powiedzieć, że nie może być tak, iż profesor jest formalnie zatrudniony na sześciu etatach, do czterech instytucji daje numer swojego konta i nazwisko, a w dwóch realnie pracuje.

**– No tak, ale może to miało znaczenie dla młodszych pracowników...?**

– Mam świadomość, że dochody nauczycieli akademickich wciąż są stosunkowo niskie, dlatego też dopuszczam możliwość zatrudnienia w dwóch miejscach. Chodzi jednak o to, by tacy pracownicy jednoznacznie się zadeklarowali, czy Uniwersytet Jagielloński jest ich pierwszą, główną uczelnią, czy też nie. Uzgodniliśmy tę sprawę z rektorami innych zainteresowanych szkół z Krakowa. Żeby nie było nieudomówień, żebym miał wgląd w to, co robią moi pracownicy, ustaliłem procedurę wyjaśniającą tę sytuację. Na moją specjalną ankietę w tej sprawie odpowiedziało 99% wszystkich nauczycieli i okazało się, że 2,5% z nich pracuje w więcej niż w dwóch uczelniach. Ci dostali ultimatum, że do końca roku mają tę sprawę uregulować, czyli dokonać wyboru; 16,5% pracuje dodatkowo na drugim etacie już za moją wiedzą. Uważam to za uczciwe rozwiązanie sprawy. Wątpiącym moim rozmówcom-dziennikarzom zadaję pytanie, czy jako dziennikarze np. „Gazety Wyborczej” mogliby jednego dnia coś publikować w konkurencyjnej „Gazecie Krakowskiej” czy „Dzienniku Polskim”, podpisując się swoim nazwiskiem? Nie – padła odpowiedź – bo szef by nas natychmiast wyrzucił z redakcji. Czy ja – dodaję – tak samo powinienem postąpić z profesorem Uniwersytetu?

Kiedy myślę o tych sprawach, przypomina mi się przypadek pewnego szacownego profesora, znanego historyka, sprzed około 10 lat. Było to wówczas, kiedy rozpoczęła się moda na prywatne uczelnie. Ów profesor, którego nazwisko pominę, jest już dzisiaj na emeryturze. Wtedy spotkałem go na jakiejś obronie. Nagle się „rozkleił” i zaczął opowiadać: bo wie pan, panie rektorze, ja mam sześć etatów. – Pytam go, jak to jest możliwe? – A jest,

bo ja pracuję na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie prowadzę wszystkie zajęcia, do Pułtuska dojeżdżam raz w miesiącu, a do czterech uczelni prywatnych daję swoje nazwisko i numer konta bankowego.

Dla mnie to był szok, po raz pierwszy bowiem spotkałem się ze zjawiskiem takiego nadużycia etosu uczonego. Powtarzam, może jestem staroświecki i już się nie zmienię, ale jednak wierzę, że istnieje coś takiego jak etos nauczyciela akademickiego i etos uczonego. I my sami musimy o ten etos dbać, bo jeśli my nie będziemy tworzyć pewnych wzorców osobowych, to kto nas w tym wyręczy?

**- Jeśli można jeszcze w tej sprawie, to wydaje się, że narzuca tu się rozwiązanie, które uprościłoby całą tę sytuację: może byłoby lepiej, mając, dajmy na to, dwie osoby pracujące na dwóch etatach, np. na Uniwersytecie Jagiellońskim i gdzie indziej, jednemu dać dwa etaty i dwie pensje i drugiemu dwa, ale każdemu z nich na tej samej uczelni i wtedy wszyscy byłiby zadowoleni...?**

- Nie chcę niszczyć szkolnictwa przede wszystkim niepublicznego, bo przy takim podejściu do sprawy dla niektórych uczelni byłaby to próba ostateczna. Uważam że moi profesorowie źle nie zarabiają, mam na to dowody – informacje od kwestora. Jeśli profesor na filologii, jak dajmy na to ja, zarabia około 6 tys. zł, a profesor na Wydziale Prawa osiąga 9 tys. zł miesięcznie, to nie ma na co narzekać.

Jeżeli komuś się nie chce dodatkowo pracować na studiach zaocznych czy wieczorowych i przychodzi tylko raz w tygodniu na 6 godzin, to oczywiście on zarobi tylko podstawowe uposażenie. Uważam, że w obecnej sytuacji społecznej, kiedy mamy około 300 uczelni prywatnych, nie wolno nam doprowadzać do ich upadku. Jeśli więc „mój” profesor będzie tam na drugim etacie i będzie dawał dodatkowe uprawnienia do prowadzenia tamtych studiów licencjackich, to w porządku.

Jest to próba pogodzenia sprawy społecznej i prywatnej sprawy finansowej profesora. Nie wiem, jak w Warszawie, ale w innych ośrodkach traktuje się mnie jak wroga szkolnictwa niepublicznego. A przecież to nieprawda! We wspomnianej akcji chodzi mi o to, by kierownicy szkół prywatnych zrozumieli, że powinni wreszcie rozpocząć kształtowanie własnej kadry, która mogłaby im zapewnić odpowiedni poziom, rozwój i pewną przyszłość.

Każdego roku progi państwowych uczelni opuszcza około 900 doktorów habilitowanych oraz 4,5–5 tys. doktorów. Na przykład Uniwersytet Jagielloński w ubiegłym roku wykształcił prawie 500 doktorów, z których mogłem zatrudnić tylko około 15, reszta pozostaje do „zagospodarowania” gdzie indziej. Oni właśnie stanowią doskonałą bazę dla szkół prywatnych, z której za kilka lat mogłyby wyrosnąć znakomite zespoły ludzkie!

Rektorzy szkół prywatnych tymczasem odpowiadają, że co im po młodej, choćby nawet zdolnej i ambitnej kadrze, kiedy oni potrzebują wielkich nazwisk, czyli faktycznie „martwych dusz”, bo nic innego tak skutecznie nie przyciąga kandydatów na studia jak właśnie nazwiska osób znanych. Pytam się zatem: jak ci ludzie będą uprawiać naukę, kiedy każe się im pracować po 400 godzin? Błędne koło! Ale, na szczęście, i wśród prywatnych są już takie uczelnie, które rozumiały, na czym polega prawdziwe powołanie szkoły wyższej, inwestują w przyszłą kadrę i zaczynają prowadzić własne badania naukowe.

**- Mam jeszcze pytanie związane z rosnącymi żądaniem poprawy efektywności, co jest czasami kojarzone z rynkiem, a na pewno wiąże się z racjonalizacją zarządzania szkołą wyższą. Podstawowymi zasobami uczelni są praca badawcza i działalność**

dydaktyczna. Czy nie łatwiej zarządzać tymi zasobami w odrębnych strukturach? Badania i dydaktyka to odmienne zadania, mające innych odbiorców i innych partnerów; z jednej strony – przedsiębiorstwa lub placówki badawcze, z drugiej – studentów czy osoby dokształcające się. Może więc lepiej tworzyć duże wydziały (np. społeczny, humanistyczny, nauk ścisłych i przyrodniczych) i w ich ramach zarządzać pracą dydaktyczną i pracą badawczą? Niektóre uczelnie zachodnie tak działają: odrębna pula godzin dydaktycznych i odrębna badawczych; z jednej układa się programy nauczania, z drugiej – projekty badawcze...

– Bardzo sobie cenię nie tylko badania naukowe. Jestem może tradycjonalistą i konserwatystą, tylko że przy obecnej strukturze to jednak nie jest takie proste do przeprowadzenia. Może gdyby wydziały były bardziej jednorodne, ale na mój Wydział Filologiczny składa się 14 instytutów i różne języki. Trudno z tego tworzyć „wspólną pulę godzin dydaktycznych”. Problem polega na czym innym. Myślę, że w badaniach bardziej teraz chodzi o jakość, a nie o ilość. Jeśli przy każdym uzasadnieniu awansu pracownika otrzymuję liczbę cytowań, to mam po prostu dane o tym, ile dany pracownik znaczy w świecie naukowym. Jeśli chodzi o różne dyscypliny, z wyjątkiem polonistyki, to mamy pod ręką listę filadelfijską. To dlatego właśnie zlikwidowaliśmy „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego”, żeby skończyć z działaniem, które właściwie w dorobku naukowym się nie liczy. Liczą się tylko publikacje w czasopiśmie recenzowanych. Poza tym dzisiaj istnieją już lepsze mechanizmy wyławiania wartościowych pracowników niż mechaniczne liczenie publikacji. Z tym zresztą wiąże się także problem pewnego nadużycia. Polega ono na tym, że np. mój doktorant z medycyny publikuje swoje wyniki badań i w charakterze współautorów dopisuje mu się siedemnastu innych pracowników kliniki, w której pracuje, bo wszyscy muszą być uwzględnieni, z kierownikiem kliniki na czele. Cholera, nie wiem, o czym oni wszyscy tam piszą, ale faktycznie są liczeni. A przecież to nic innego jak dopisywanie się do cudzej pracy. To choroba, przy której ja już właściwie spasowałem. Ale w tej praktyce dostrzegam po prostu nadużycie, które, generalnie rzecz biorąc, uderza w jakość badań naukowych. Druga sprawa to dydaktyka.

Na fali odnowy próbowaliśmy po prostu dydaktykę odrzucić jako mało ważną. Aby tę swoistą modę powstrzymać, wymyśliliśmy na uczelni następujące rozwiązania. Uniwersytet ufundował nagrody rektora, Laury Jagiellońskie, przyznawane raz do roku za wybitne osiągnięcia naukowe w zakresie medycyny, nauk ścisłych i przyrodniczych oraz nauk humanistycznych. Oprócz tego pracownikom którzy mogą się pochwalić realnymi osiągnięciami w pracy dydaktycznej przyznajemy nagrody *Pro Arte Docendi*. Kandydatów do tych nagród ustala specjalna komisja na podstawie ankiet studentów. I jeszcze wymyśliłem coś, co zbliża uniwersytet ze szkołami średnimi. Jest to Nagroda im. Hugona Kołłątaja, przyznawana za kontakty z liceami i za podręczniki. Wysokość wszystkich tych nagród nie jest może największa, gdyż każda z nich oscyluje wokół kwoty 15 tys. zł, ale są one chyba skuteczną formą dopingu.

Pragnę przy tym zauważyć, że przy ocenie pracy kadry opieramy się na opinii studentów. Mamy małą pracownię metryczną, która prowadzi tego typu badania. Coraz więcej instytutów już przyjęło ten system ocen, choć zdarzają się jeszcze z tym kłopoty, zwłaszcza na kierunkach humanistycznych.

– W Sejmie trwają prace nad nową ustawą o szkolnictwie wyższym, a tymczasem nie istnieje strategia rozwoju tego szkolnictwa. Czy nie byłoby bardziej logiczne sfor-

**mułowanie w pierwszej kolejności takiej strategii, a dopiero potem, na podstawie zasad przyjętych w strategii – opracowanie ustawy? Brak rozstrzygnięcia ważniejszych kontrowersyjnych problemów powoduje duże rozbieżności podczas dyskusji nad ustawą. Co Pan Rektor o tym sądzi?**

– Na temat strategii dyskutowaliśmy już od kilku lat, aż wreszcie były wiceminister odpowiedzialny za szkolnictwo wyższe wymyślił strategię. To znaczy – siadł przed komputerem i w ciągu dwóch albo trzech wieczorów napisał rzecz bzdurną na bodajże 50 stron. Teoretycznie mają panowie rację: najpierw powinna być strategia, a dopiero potem ustawa. Tylko że na tę strategię to my się nie doczekamy, bo w tej chwili żaden rząd nie jest w stanie tego zrobić. W tej sytuacji poszliśmy w odwrotnym kierunku. Skupiliśmy się na tym, co moim zdaniem jest najpilniejsze, czyli na prawie o szkolnictwie wyższym.

Ustawa jest nam bardzo potrzebna. Uczestnicząc w realizacji procesu bolońskiego, nie możemy sobie dłużej pozwolić na rozmaite wynaturzenia, z jakimi mamy teraz do czynienia. Dzisiaj każdy z moich profesorów może mi wytoczyć proces o utrudnianie pracy w, dajmy na to, siedmiu uczelniach i nic mu nie będę mógł zrobić poza udzieleniem nagany za nieprzestrzeganie uchwał Senatu. Ale wyrzucić z Uniwersytetu nie mam prawa. Ustawa powinna więc jasno precyzować, co się mieści w ramach „etosu” nauczyciela akademickiego. Ale jeszcze bardziej – winna uporządkować strukturę. Projekt prezydencki ma wiele wad, ale niech będzie i taki, byleby pozwolił wyhamować negatywne tendencje.

Gdyby nie wasz kolega, psycholog społeczny, który pewnego dnia stanął przed kamerami telewizji i oświadczył, że czuje się jak dziewczyna na skrzyżowaniu ulic i jest do wynajęcia, może nie byłoby tak daleko idących zmian w świecie akademickim. Wkrótce jednak zaczęli się pojawiać jego koledzy i to samo robić, wystawiając się na widok publiczny i powiadając, że są do kupienia! W tej sytuacji nowe prawo jest oczywiście potrzebne.

Moja filozofia życia jest inna. Możecie mnie panowie opisywać jak chcecie, ale uważam po staroświecku, że nauczyciel akademicki to nie jest zwykły zawód, ale powołanie. Tak jak ksiądz ma powołanie, tak samo musi je mieć profesor. To jest wpisane w jego misję. Jeśli tego „czegoś” brakuje, to człowiek powinien szukać sobie zajęcia gdzie indziej. Bardzo mnie boli, kiedy raz po raz czytam w gazetach, że profesorowie zajmują się jakimś biznesem, żeby wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy. Poszliby choć raz na miesiąc (już nie mówię – raz na tydzień) na cmentarz i zobaczyli, ile będą w stanie z tego zabrać ze sobą na drugi świat. Wówczas może by i w tych swoich wyścigach wyhamowali.

**– Od ponad dwóch miesięcy Polska jest członkiem Unii Europejskiej. Czy data pierwszego maja 2004 roku zmieniła coś w życiu Uniwersytetu Jagiellońskiego?**

– Nie ma żadnej rewolucji, bo w Unii Europejskiej to nasz Uniwersytet jest od 600 lat. Ale mniej anegdotycznie powiem, że w tej chwili np. łatwiej nam się rozmawia z naszymi partnerami z Zachodu. Pamiętam, kiedy jeszcze półtora roku temu zgłosiłem pomysł spotkania z rektorami uczelni francuskich, nie było żadnego odzewu. Więc zrezygnowałem. Teraz nagle okazało się, że Francuzi chcą się z nami spotykać. W przyszłym roku w maju będę gościł wszystkich rektorów z Niemiec, którzy przyjadą do Krakowa na spotkanie z rektorami uczelni polskich. Słowem, łatwiej nam się teraz rozmawia na płaszczyźnie ogólnoeuropejskiej. Łatwiej także z partnerami ze Wschodu.

Na spotkanie z rektorami polskimi, które zorganizowałem na początku czerwca w Olśztynie, zaprosiłem delegację z Federacji Rosyjskiej. Przyjechało sześciu rektorów. Początkowo mieli obawy, ale przyjechali. W listopadzie bieżącego roku do rektora Szkoły

Główniej Gospodarstwa Wiejskiego, prof. Tomasza Boreckiego, przybędzie ich ze Wschodu około stu. Dlaczego teraz chętnie przyjeżdżają? Bo Polska jest już w Unii. O ile nasze członkostwo we Wspólnocie Europejskiej zdecydowanie ułatwia i poszerza współpracę międzynarodową, o tyle w samej strukturze uczelni, w jej codziennym życiu, zmienia niewiele. To jest kwestia polityki długofalowej, a ta z dnia na dzień nie czyni rewolucji.

Mamy kolejkę uczelni zagranicznych chętnych do podpisania z nami umowy o współpracę, obserwuję coraz większe zainteresowanie młodzieży zagranicznej możliwością podjęcia studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. I nie tylko na naszym Uniwersytecie. Proponujemy w coraz większym zakresie studia w języku angielskim. Mamy w tej chwili około 1600 zagranicznych studentów i doktorantów. Nasza oferta jest dla nich interesująca: wysoki poziom nauczania, możliwość studiowania w języku angielskim, ale także po polsku, czemu dobrze służy Instytut Języka Polskiego dla Cudzoziemców. Sądzę więc, że jeśli dalej będziemy prowadzić taką politykę, to liczba studentów z krajów zachodnich będzie u nas stale rosła.

Nie mam lęku przed Unią. Przez 9 lat pracowałem na uniwersytetach we Francji i w Portugalii. Czuję się u nich równie dobrze jak u siebie. Ale u siebie lepiej i w związku z tym nie mam też obaw, że mi studenci uciekną.

**– Ale fizycy – słyszeliśmy takie opinie na Uniwersytecie Warszawskim – boją się, że studenci czy doktoranci od nich wyjadą...**

– Jestem jednak przekonany, że oni wrócą. W tej chwili wcale się nie martwię wyjazdami młodzieży za granicę, bo wciąż mam co najmniej 3–4 kandydatów na studia doktoranckie na jedno miejsce. A to, że oni przychodzą, a potem jadą, to bardzo dobrze. Skoro nie możemy na razie wnieść do Unii czegoś innego, to dajmy im zdolnych studentów. A ci ludzie naprawdę tak od razu nie przekształcą się w Niemców, Francuzów czy Amerykanów. Będą tam raczej naszymi ambasadorami. Jedni kiedyś wrócą. Drudzy, jeśli nawet pozostaną w nowych krajach osiedlenia, zawsze łagodniej będą spoglądać na Polskę. Wyjazdy dają im dobry „trening” życiowy i zawodowy. A nasz naród naprawdę jest zdolniejszy od innych. Wiem to z własnych porównań podczas wieloletniego pobytu za granicą, więc o dalszy los tej emigracji i problem tzw. drenażu mózgow jestem raczej spokojny.

**– i ostatnia kwestia. Panie Rektorze, z badania OECD wynikało, że społeczeństwa krajów Unii Europejskiej znacznie częściej się doksztalcają niż Polacy, idea *lifelong-learning* staje się u nich modnym hasłem. W *Strategii Lizbońskiej* planuje się, że w 2010 roku w tych krajach przynajmniej kilkanaście procent pracowników każdego miesiąca będzie uczestniczyło w jakiejś formie doksztalcenia. Tworzy się olbrzymi rynek. Jakie plany w tej dziedzinie ma Uniwersytet Jagielloński?**

– Zapotrzebowanie na kształcenie ustawiczne upewnia nas, że szkolnictwo wyższe w Polsce nie upadnie. Mamy programy, mamy pomysły, ale problem w tym, że to doksztalcenie powinno właściwie trwać przez całe życie. Jest to bez wątpienia jeszcze jedno wyzwanie na przyszłość. Żeby jednak idea ta spełniła oczekiwania, powinniśmy najpierw zapewnić szersze wykształcenie powszechne, które dałoby możliwość dalszej nauki na uniwersytecie. A my w tej chwili wciąż musimy walczyć o pewien standard europejski kształcenia tzw. dziennego czy popołudniowego.

**– No, bo chodzi o to, żeby z odpowiednią wiedzą być w odpowiednim miejscu i czasie, a do tego musi być dobra polityka...**

– ...dobra polityka otwarcia się na to, co się dzieje dookoła. Ale my nadrabiamy zaległości tych 45 lat... Uważam, że nasza kondycja nie jest wcale najgorsza. Nasze uniwersytety biją na głowę większość uniwersytetów francuskich czy włoskich. Mamy atuty. Problem w tym, abyśmy potrafili je wykorzystać.

– **Co dzisiaj spędza sen z powiek rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego? Największe problemy, zagrożenia, ale i nadzieje?**

– Mój Boże, męczy nas straszliwa biurokracja, która się szerzy i oplata coraz to nowymi mackami. Ale także niestabilne prawo i system podatkowy. Dławi nas podatek VAT. W tej chwili mam np. problem z inwestycjami. Budujemy kampus, ale również wielkie Auditorium Maksimum przy Alei Mickiewicza, no i okazuje się, że po pół roku musiałem zrezygnować z usług wykonawcy, tj. Hydrobudowy 6, tej samej, która w Warszawie buduje metro. Przedsiębiorstwo to zaproponowało nam bardzo atrakcyjną cenę i w związku z tym wygrało przetarg. Niedawno jednak okazało się, że była to cena dumpingowa. Firma zażądała od nas dodatkowych 8 mln zł. W efekcie roboty zostały wstrzymane, a ja ogłaszam nowy przetarg. Ktoś go wygra, ale ktoś przegra. I będzie protestował, wstrzymując kontynuację prac...

Gdyby tak władze centralne okazywały więcej zaufania władzom wybieralnym, sprawdzanym przecież przez senat uczelni, takich problemów byłoby znacznie mniej i pracowałoby się o wiele lepiej. Chodzi w końcu o zaufanie do elity intelektualnej tego kraju! Tymczasem na Uniwersytecie Jagiellońskim zmuszony jestem trzymać specjalny pokój, w którym przyjmuję kolejnych kontrolerów – a to z Izby Skarbowej, a to z NIK, a to z Ministerstwa Edukacji... Jesteśmy nieustannie obligowani przez urzędników do drobiazgowej sprawozdawczości, do tworzenia setek i tysięcy pism. Rektor dużego uniwersytetu (podobno autonomicznej uczelni!) powinien mieć jakąś swobodę działania! Dużo złego w tej dziedzinie wynikało z decyzji pana Leszka Balcerowicza, który w ostatniej chwili, w ostatnim czytaniu w parlamencie, wepchnął szkoły wyższe pod działanie ustawy o finansach publicznych, choć formalnie nie powinno ich tam być. Potem poszła – absurdalna z naszego punktu widzenia – ustawa o zamówieniach publicznych. Na szczęście znalazł się ktoś myślący i odpowiedzialny, kto po spotkaniach z rektorami ustąpił z pewnych absurdalnych zapisów i przynajmniej na zakup papieru toaletowego nie musimy organizować konkursów...

I pomyśleć, że na Uniwersytecie działają bardzo dobre komisje senackie, które w pełni kontrolują politykę rektora...

– **Dziękujemy za rozmowę.**

Rozmowę przeprowadzili *Ireneusz Białecki* i *Adam Gałkowski*

Kraków, 6 lipca 2004 roku